





Ping-pong z samą sobą

Nie neguje swojej kobiecości, choć twierdzi, że nie musi nikomu się podobać. Wbrew etykietce, która do niej przylgnęła, nie uważa się też za aktorkę trudną. Z niepokorną

Beata Fudalej rozmawia **Zbigniew Książek**.

Powiedz mi, gdybyś miała ułożyć listę tego, czego naprawdę pragniesz? Na dzisiaj, na tę chwilę...

– Wiesz, ja się wyleczyłam z jakichś takich pragnień. Trzeba wiedzieć, gdzie są realia, a gdzie jakieś mrzonki. Cały czas nad tym pracuję, żeby się cieszyć tym, co mam. Ciągle mi to nie wychodzi. Jedno, czego naprawdę nie chcę, to nie chcę mieć raka. Ale wiem, że to też się może zdarzyć. Natomiast pragnąć? Nie mam czegoś takiego. Nie chciałabym, żeby to zabrzmiało gorzko, ale to nie jest gorzkie. Czy zagra się jedną rolę więcej czy mniej, czy zagra się lepiej czy odrobinę gorzej... Czy dostaje się jakieś nagrody, czy nie, to nie ma najmniejszego znaczenia. Jest dużo milej, gdy ostatnio w Paryżu, gdzie

byliśmy ze spektaklem „Braci Karamazow” Krystiana Lupy – dostaje się po spektaklu wielkie oklaski niż jakieś rachityczne braweczka. No i lepiej dostać oklaski w Paryżu niż w „Pikutkowie”, to wiadomo. Ale tak naprawdę niczego to w życiu nie zmienia. Oczywiście trzeba znaleźć jakiś motor, żeby ciągle iść do przodu.

A co to znaczy iść do przodu?

Nie mam ochoty się mizdrzyć po to, żeby udowodnić, że jestem kobieca.

– Mieć chęć i radość robienia nowych rzeczy. No bo moglibyśmy się teraz położyć do trumny i powiedzieć: „Teraz strzelam samobója”. Tylko idioci „strzelają samobója”.

Kiedy schodzę ze sceny, jestem szczęśliwa, że to się skończyło. Zastanawiam się, co będę robić po przedstawieniu... I w żaden sposób nie przenoszę życia postaci na swoje życie.

Czy sztuce przez duże „S” warto wszystko poświęcić?

– Absolutnie nie. Może gdybym była lekarzem, chirurgiem, czułabym sens w tym, że ratuję ludzi. To byłoby w jakiś sposób wymierne. Sztuka w żaden sposób nie jest wymierna. Kilka osób przyjdzie i powie: „fantastycznie”, przyjdzie ktoś inny i powie: „do chrzanu”. I tak naprawdę przejmiesz się tą jedną osobą. Czy przejmiesz się czy nie, to mniejsza. Zawsze jednak to, co robisz na scenie, robisz uczciwie. Ja nie umiem odpuszczać.

Ubierasz się, jak to kiedyś określił Andrzej Wajda, jak uczestnik powstania warszawskiego: wojskowe kurtki, luźne bluzy, męskie, przepastne koszule. Czy za pomocą ubioru negujesz swoje kobiece wdzięki?

– W żaden sposób nie neguję tak zwanej kobiecości. Mnie po prostu jest tak wygodniej. Chodzić w adidasach i džinsach. Bo wiesz, czasem jest tak, że rozmawiasz z koleżankami, które siedzą i mówią, że życie jest do chrzanu, przygarbione, wyglądają jak grabarze po pracy i wchodzi jakiś facet, a one zaczynają kwitnąć. To uważam za najgorszy fałsz. Ja nie zamierzam niczego udawać, bo mnie to nudzi i męczy. A ja nie lubię się męczyć, bo jestem śmierdzącym leniem. Ale w pracy, kiedy używam, jak to nazywasz, wdzięków kobiecych, to jest normalne, nieklamane. Nie neguję w sobie żadnej kobiecości. Po prostu nie mam ochoty się mizdrzyć, żeby udowodnić, że jestem kobieca. Ja to pieprzę. Ja to wiem i to mi wystarczy. Nie muszę się przeglądać w środowisku, żeby wiedzieć pewne rzeczy o sobie. Sama sobie nigdy nie zadawałam pytania, czy jestem kobieca czy nie. Bardziej zadawałam sobie pytanie, czy czegoś nie narozrabiałam, czy zrobiłam coś złego. Czy ja mam dzisiaj piękne rzęsy czy piękną cerę? A jakie to ma znaczenie?! Ja się nikomu nie muszę podobać.



Wychodzisz na scenę w „Iwonie, księżniczce Burgunda” Gombrowicza i pokazujesz pełną nagość, co skądinąd jest piękne...

– Dziękuję bardzo.

I zgadzasz się na to...

– To była bardzo skomplikowana sytuacja przy tym przedstawieniu i... Ja nie nadaję się do rozbierania. Są osoby, które robią to pięknie i naprawdę warto na to patrzeć. Ja do nich nie należę.

Czyli film pornograficzny nie ma co liczyć na twój czynny udział?

– Absolutnie nie.

Uprawiałaś wycynowo grę w ping-ponga.

Kogo chciałaś zabić i co chciałaś wygrać?

– Zaczęłam uprawianie sportu dosyć późno, bo w ósmej klasie podstawówki i lubiłam to, bo niesiłowe i szybkie. To nie jest sport przemocy. Byłam takim dzieckiem, które nie mogło usiedzieć na miejscu i pewnie stąd się to wzięło. Nawet były takie pomysły, żeby iść na AWF. Nikogo nie chciałam zabijać, chciałam raczej sobie coś udowodnić.



Co powiesz o szczęściu?

– Jak je człowiek ma, to je niszczy, a jak nie ma, to chciałby mieć. Truizmy.

Pan Andrzej Wajda... Zagrałaś u niego główną rolę w spektaklu „Mishima” i, moim zdaniem, była to rola roku.

– Tak myślisz? Wielu osobom się nie podobało. Fantastyczne jest w Andrzeju Wajdzie to, że jest człowiekiem, który potrafi ryzykować. Widział mnie w jakichś damskich rolach, ale zaryzykował obsadzając w głównej roli w tym spektaklu.

Krakowską PWST skończyła w 1989 roku. W przedstawieniu dyplomowym w szkole grała w „Braciach Karamazow” w reżyserii Krystiana Lupy. „Właściwie dlatego dostałam się do Starego Teatru w Krakowie” – twierdzi Beata Fudalej.

Nagrodzona na Festiwalu Szekspirowskim w Gdańsku za „Ariela”, na Festiwalu Sztuk Współczesnych za „Ninę” w „Grzebaniu”, w Tarnowie za „Miarka za miarkę”. „I coś tam jeszcze... nie pamiętam” – dodaje.

W 1991 roku uhonorowana Grand Prix na Festiwalu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Lubi śpiewać i robi to świetnie. Ostatnio – we Wrocławiu u Stanisława Radwana w jego spektaklu „Herbert – Przesłanie”.

„Śpiewanie interesuje mnie wtedy, kiedy ma jakiś kontekst aktorski, kiedy nie jest śpiewaniem samym w sobie” – podkreśla.

W „Braciach Karamazow” Krystiana Lupy są chwile, że choć cię znam, wierzę w twoje szaleństwo... Przeraża mnie ta schizofreniczna część ciebie. Siedzisz na wózku inwalidzkim i naprawdę jesteś wariatką.

– To jest fantastycznie wyreżyserowane przez Krystiana. Ja nie chodzę i nie gram tego, co chcę. To on odkrywa, co jest w ludziach i w tym, co zostało napisane. A potem aktora stara się na to naprowadzić. Ja nie identyfikuję się z postaciami. Najciekawsze jest granie postaci, które nie mają ze mną nic wspólnego. Może mam w sobie takie przestrzenie jak chora Liza. Nie wiem. Ale kiedy schodzę ze sceny, jestem szczęśliwa, że zagrałam, że to się skończyło. Palę papierosa i zastanawiam się, co będę robić po przedstawieniu... I w żaden sposób nie przenoszę życia tej postaci na swoje życie. Zwariowałabym po jakimś czasie.

Ludzie są fajni?

– Nie. Ludzie nie są fajni. Ja też nie jestem fajna. Ale zawsze jest możliwość popracowania nad sobą.

Po co nad sobą pracować?

– Żeby nie mieć do siebie obrzydzenia.

Masz świetną sylwetkę. Odchudzasz się?

– Nie. Czasami, kiedy muszę schudnąć do roli, odstawiam słodycze i alkohol na jakiś czas i to wystarcza.

Czy facet może być gruby?

– Jeżeli ma na to ochotę, to dlaczego nie? Ludzie mogą być, jacy chcą, byle się do mnie nie przypieprzali. Ja przestałam ludzi rozróżniać... A w ogóle twierdzę, że wszyscy ludzie są brzydki, że mną na czele ma się rozumieć. Jeżeli ktoś jest ciekawy od środka, to naprawdę nieważne, jak wygląda. Wygląd ludzi „wali mnie girlandami”. Mój wygląd zwłaszcza. Czasami brzydota duszy wychodzi na twarzy... Tak zwana uroda zewnętrzna to jest totalna bzdura, moim zdaniem. Człowiek albo świeci od środka, albo nie świeci.

Co to jest miłość, twoim zdaniem?

– I co ci mam powiedzieć?

Coś własnymi słowami...

– Dobrze, odpowiadam. Miłość jest to jedyny motor, który trzyma nas w równowadze na tym świecie. To jedyne, co pozwala sobie nie strzelić w łeb, kiedy się wstaje rano. I tyle. Innymi motorami są praca, ambicja czy to, że ludzie czują się potrzebni. Jest mnóstwo takich ludzi...

Jakich kosmetyków używasz?

– Nie pamiętam. Nie zwracam na to uwagi.

Co jest fajnego w aktorstwie?

– To, że możesz sobie bezkarnie pożyć czyimś życiem. To jest fantastyczna zabawa. Możesz za każdym razem być kimś innym. Możesz inaczej wyglądać. Ja to uwielbiam w tym zawodzie. I nie chodzi tu o kostium, bo nienawidzę się przebierać, ale o psychiczne sprawy.

Walisz ludziom prawdę w oczy...

– Tak ci się tylko wydaje. Po to wymyślono tak zwane dobre wychowanie, żeby nie ranić ludzi. Coś mi się przypomniało. Kiedyś na grzybach syn koleżanki zapytał mnie, co to znaczy dobre wychowanie. I ja nie wiedząc, co powiedzieć, powiedziałam mu, że dobre wychowanie polega na tym, że się mówi co innego niż się myśli. Potem szybko dodałam, że trzeba uwierzyć w to, co się mówi, czyli starać się być lepszym człowiekiem niż się jest. To bardzo trudne. Najłatwiej rozkwasić komuś twarz. I to jest zdrowsze, bo się nie ma wrzodów... Ale chyba warto podjąć taką pracę ze sobą i nad sobą. Co nam z tego, żeśmy się szlachetnie zachowali? Ano czasem coś z tej szlachetności w nas zostaje...

To tyle, dziękuję ci za rozmowę.

– I z tego chcesz zrobić wywiad? Przecież ja nic ciekawego nie powiedziałam...

Coś powiedziałaś... ❖

zdjęcia **Andrzej Hrechorowicz**